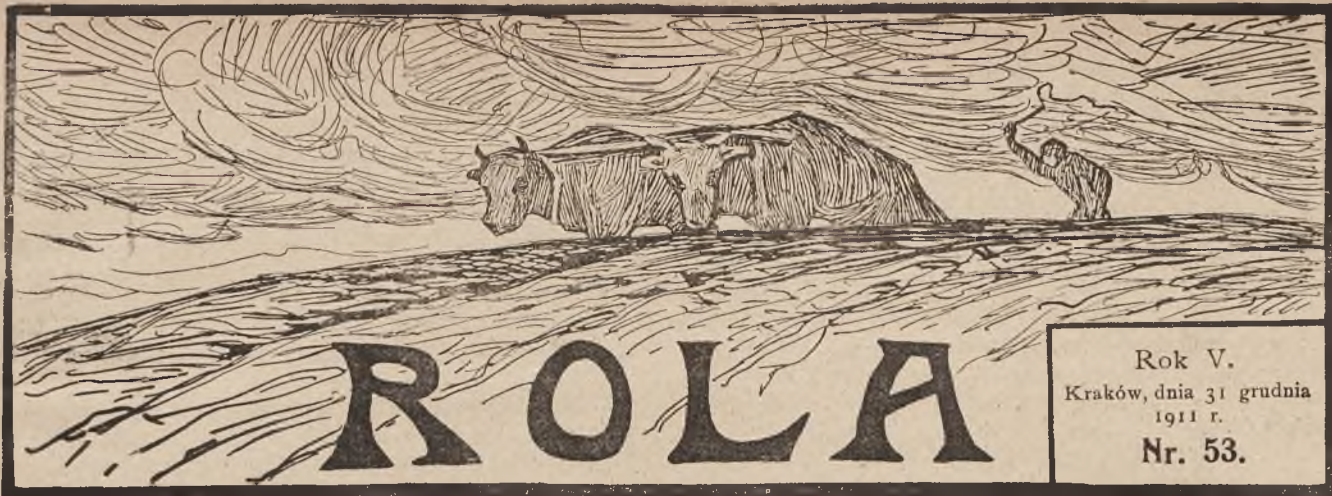


TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Ostatnie słowa!

Do tych, którzy »Rolę« znają, czytają i prenumerują, zwracamy się dziś z gorącą prośbą.

Znana to rzecz, że każde wydawnictwo pragnie mieć jak najwięcej poparcia u rodaków. Wszak to jego cel istnienia, wszak to jego dążność, aby każde słowo tu wypowiedziane odbiło się tysiącznem echem w sercach braci.

Sądzą niektórzy, że redaktorowie i wydawcy pism starają się o powiększenie liczby czytelników dla celów i zysków materyalnych. Opinia ta — istotnie jest raniącą blizną w sercach tych, którzy poświęcają swe życie pracy piśmienniczej. Praca tych, którzy składają swe ziarnka na kłos plonny jednego numeru gazety — jest pracą ducha, serca, myśli i życia, więc jako taka — nigdy nie da się tylko groszem nagrodzić — nigdy nie da się tylko materyalną zapłatą zadowolnić. Tym, którzy dają serce — trzeba serca, tym, którzy z głębi swego ducha snują nici na pokarm myśli czytelników — trzeba w nagrodę nieść to przeświadczenie, iż naród tę pracę ceni — iż ją rozumie i garnie ją ku sobie. Jako ów mówca z trybuny — z większym ogniem i zapałem przemawia, gdy widzi wokoło siebie coraz liczniejsze grono słuchaczy, tak i pracownicy gazety, ze zdwojoną siłą i uczuciem gorętszem mówią, gdy widzą, iż zastęp ich przyjaciół i czytelników powiększa się.

Więc i my wszyscy, którzy do »Roli« należymy, którzy się na myśl i treść jej ducha składamy — pragniemy uzyskać to najmilsze dla nas wy nagrodzenie za trud i poświęcenie, którem jest zwiększona liczba czytelników.

Prosimy was zatem bracia i rodacy ukochani — otwórzcie wśród swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i sąsiadów wrota dla nas.

Gdybyśmy — my — współpracownicy »Roli« szli po Ojczyźnie razem, jako owe pacholęta z gwiazdą i pukali do waszych progów i prosili: przyjmcie nas, opowiemy wam nieco z przeszłości — zaśpiewamy piosenki, pogawędzimy o dzisiejszej dobie pełnej cichej walki i trudu — czyżbyście przed nami trzymali drzwi zamknięte i nas nie przyjęli?...

A gdy my osobiście nie możemy być po tylu, miastach, wioskach, domach, chatach, warsztatach, dworach, czytelniach i szkółkach i t. d., lecz gdy myślą i sercem do waszych wrót dobijamy się, a prosimy — przyjmcie nas — czyli nam nie otworzycie?...

O rodacy!... nie myślcie, że idziemy ku wam dla zarobku! Wielkie cele przed nami! — Promienna gwiazda Miłości Ojczyzny nas wiedzie!...

Idziemy jako siewcy na zagon ojczysty — niesiemy ziarna narodowe — ojczyste — Boże... pozwólcież, niech słowa padają jak krople rosy — niech dadzą choć drobny maluchny, lecz dla Ojczyzny korzystny plon... Możecie nam pomódz wiele!... Niech każdy poda »Rolę« drugiemu — niech o niej życzliwe słowo powie przyjaciołom — niech przeszle adres tych, którzy »Rolę« zrozumieją, a już dużo uczynicie.

Życzliwe słowo.. to zawsze i wszędzie potęga... takie słowo i dla nas jest większem poparciem, jak samo zapłacenie kilku koron.

O to życzliwe słowo wśród przyjaciół, sąsiadów, znajomych, prosimy.

Więc dajcie życzliwe słowo o »Roli« — rozszerzajcie ją — ukochajcie ją — a i nam, który w niej pracujemy, dajcie zapłatę nie tyle grosza — co serca!!!

Gdy nam podacie swą pomocną dłoń, to przysłużycie się nie tyle nam, co braciom waszym, co Ojczyźnie naszej, co oświacie i ogólnemu dobru społeczeństwa. Z temi słowami zwracamy się do Was w dzisiejszym numerze, jako ostatnim w roku bieżącym. Dowidzenia w przyszłym!

Redakcya „Roli“.

Rozbójnicze gniazdo.

XXII.

Imieniny miecznika. — Opowiadanie Suchodolskiego. — Znowu Janasz. — Postanowienie miecznika. — Gadatliwość Nikity. — Choroba Jadzi. — Miecznik u króla. — Spotkanie z Janaszem. — Janasz wraca do Mierzejewic na zawsze.

Na wyprawę tegoroczną miecznik się już wybrać nie mógł; niewola dała mu się we znaki na zdrowiu — król go od wyprawy uwolnił. W Mierzejewicach, jak nigdy, smutno było i pusto.

Podróż do Lublina nie pomogła nic Jadzi i o mało nie zaszkodziła jeszcze, gdyż zapragnęła była zostać przy matce Anieli, i ledwie łzy matki to postanowienie skruszyły.

Miecznikowa szukała środków na ożywienie Mierzejewic. Spraszano gości — to cokolwiek miecznika, choć na krótko, rozrywało.

Przypadły właśnie urodziny p. Zboińskiego w lipcu. Gdy goście zasiedli do obiadu, a z moździerzy zaczęto bić na wiwat, zrobiło się gwarno, wesoło, ochoczo... Przy mieczniku nieopodal siedziała Jadzia, naprzeciw nich obywatel z Sandomierskiego, przybyły do brata p. Suchodolskiego, który go tu z sobą przywiózł. Sandomierzanin gaduła był prawił:

— Już kutwy doskonalszego w swym rodzaju, niż my w Sandomirskiem, pana Skwarkę — nie miał świat i Korona. Można go było pokazywać jako monstrum, bo spojrzawszy na niego, szelągaby zań nikt nie dał, a zostawił po sobie fortunę, jaką daj Boże każdemu. Pieniacz był nielada, bez procesu żyćby nie mógł, ale prawników odsyłał do miłosierdzia bożego po zapłatę. Ani sługi, ani parobka nie nagrodził po ludzku, i tak całe życie sterał. Pod koniec, słabszym się czując, wziął sobie nieszczęśliwego jakiegoś krewniaka czy imiennika, którym się wysługiwał jak murzynem. Ale cóż? tacy ludzie szczęście mają; proboszcz, który mi to opowiadał, a patrzał dzień w dzień na życie jego i sprawy, — mówi, że równie skromnego, poczciwego, spokojnego, dobrego chłopca ze świecą szukać. Co z nim stary kutwa wyrabiał, na wołowejby skórze nie spisał. Koniec końców jednak, że umrzeć każdemu wreszcie potrzeba, stary się poczuł źle, nogi puchły, i wziąwszy słowo od biednego krewniaka, że majątku nie straci, zapisał mu wszystko, a tak ów Korczak nagle do fortuny przyszedł.

— Korczak? zawołał miecznik bledniejąc: jaki Korczak?

Jadwisia się zarumieniła jak wiśnia i poczęła oczyma jasnemi wpatrywać się w Suchodolskiego.

— Jaki Korczak? tego nie wiem, odparł Suchodolski. Widziałem go zdala na pogrzebie, dziwnie piękny chłopak, szlachetna twarz i miła.

— A! to on! krzyknęła mimowolnie Jadzia, składając ręce.

Miecznikowa i mąż spojrzeli po sobie, gospodarz starał się jakiemiś znakami Suchodolskiego ostrzedz, aby rozmowę przerwał, ale ten je źle zrozumiawszy, jeszcze się rozwiódł obszerniej.

— Tyle wiem, że ma imię Jan czy Janasz i że był w tureckiej niewoli.

— A! to on! to on! powtórzyła Jadzia ręce składajac, i zwróciwszy się do matki, dodała: To on!

Wszyscy na nią patrzali, co jej bynajmniej nie zmieszało.

— Tak, to ten sam, który matce i mnie życie ocalił, który ojca uratował z niewoli, dodała Jadzia; ale jakże być może, aby puszczony na swobodę, nawet się do nas nie zgłosił?

Miecznik ze spuszczonemi oczyma, ręką bębnił po talerzu; matka poskramiała oczyma córkę.

— A! to chyba nie nasz Janasz, dodała Jadzia; bo gdyby ten był, który się u nas wychował, pewnieby nie poszedł nigdzie, tylko tu przybył najprzód jak do rodzicielskiego domu.

— Są nazwiska i imiona podobne, wtrącił miecznik z flegmą, i ja też sądzę, iż to ten sam być nie może, ale inny pewnie jaki.

Jadzia spojrzała w koło, pobladła i zamilkła.

— Dziwne jednak imienia i nazwiska podobieństwo! dodała po chwili.

Suchodolski, który był wielkim znawcą ludzi, spostrzegł, że swojem opowiadaniem jakąś niezręczność popełnił; zaczął więc zaraz przywodzić rozmaite zdarzenia, w których zupełne imion i nazwisk podobieństwo było dziwnych omyłek powodem. Śmieli się wszyscy. Suchodolski tymczasem, wyliczał bajeczne sumy w kapitałach, obligach i majętnościach, które ów Janasz Korczak odziedziczył.

Miecznik słuchał z uwagą wielką.

— A nie wiesz co zamierza? Pewnie mu się głowa zawróciła!

— Pojechał się, słyszę, do wojska zaciągnąć, dodał Suchodolski, — bo i minę ma, i gusta rycerskie, a z biedy snadź tylko u starego kauzyperdy służyć musiał... Teraz sobie przypominam, jak przez sen, kończył opowiadający, że mi ksiądz opowiadał, iż dziwne a osobliwe historye słyszał od niego, o oblężeniu jakiemś od Tatarów na Podolu, które wytrzymał; miał jeszcze blizny od ran tatarskich.

Jadzia wstała wyprostowana jak świeca.

— To on! krzyknęła ręce łamiąc: ocalony!... i padła na krzesło na pół omdlała.

Miecznikowa przybiegła do niej, a Zboiński rzekł chłodno:

— Nie ma się co dziwić, że Jadzia tę wiadomość tak do serca wzięła, bo się ten chłopak u nas wychował, i uważa go za brata. W istocie, musi to ten sam być...

Jadzię matka odprowadzić musiała od stołu, a zatem i inni goście powoli ruszali się i rozchodzili po pokojach; tylko ci, co kielichy mieli pełne, za stołem pozostali.

Miecznik udawał jak mógł, że go to nic nie obeszło, lecz w istocie dotknięty był mocno znalezieniem się córki, które wszyscy postrzegli i tłómaczyć sobie musieli. Po chwili Jadzia ukazała się blada w kole rówieśnic, i starała się prowadzić jakąś rozmowę obojętną. Zabawa trwała jak zwykle do późna, i skończyła się wiwatami na ganku. Nad ranem porozjeżdżali się wszyscy.

Jadzia w sukniach jak stała, siadła w krzesełku zadumana Wtem weszła miecznikowa.

— Kładźże się spocząć! tak późno!

— A! matusiu, jak tu się położyć, jak tu spać, kiedy się serce krwawi! Ten człowiek, ten, którego przywiązaniu ja tak wierzyłam, ten Janasz, mógł powróciwszy z niewoli pójść się uganiać za służbą dla majątku, nie dawszy nam nawet znaku życia!

Matka stała zamyślona przed nią, walcząc z sumieniem.

— Nie obwiniaj go, rzekła: to, co ty znajdujesz grzechem, on pewnie i ja mamy za zasługę i cnotę. Po cóż miał tu powracać, tak jakby rękę po nagrodę wyciągał? po co? gdy ty, nieopatrzne dziecię, dałaś mu sto razy uczuć, że go kochasz, a ja oświadczyłam, by nie śmiał na pańskie dziecko oczu podnieść!

— Matko! tyś mu to mówiła? krzyknęła Jadzia, ręce łamiąc.

— Jeśli nie temi słowy, to równie jasno i wyraźnie, kończyła miecznikowa. Nie chcę, byś go

obwiniała niesłusznie. Wiedział, że między nim a tobą jest przepaść, bo córka pana miecznika nie mogła być żoną ubogiego sługi i sieroty.

Jadzia zarzuciła matce ręce na szyję.

— Matuniu droga! dziękuję ci! Temi słowy uspokoiłaś mnie. Tak! on nie mógł zapomnieć, on nie był niewdzięczny, on jest jakim był. Teraz pozwól mi się pomodlić.

Jadzia uściskała matkę w milczeniu, i przed łóżkiem rzuciła się na kolana. Matka zobaczyła ją rozpoczynającą modlitwę i wyszła. Właśnie szukano jej po całym domu, bo miecznik chciał się z nią widzieć i mówić. Zastała go rozebranego w białym kitlu i chodzącego po pokoju wielkiemi krokami. Sapał, i zżymał się, i burczał. Zaledwie zobaczył wchodzącą miecznikowa, począł gwałtownie:

— Pięknie się waścina Jadzia spisała! pięknie! Rozniesie się po calutkiem sąsiedztwie historya! Patrzali na nią wszyscy.

— Ale któż się mógł spodziewać? i cóż w tem złego, że się uniosła?

— Tak! tak! to kara boża za kłamstwo. Mamy cośmy sobie sami zgotowali, mówił miecznik. I cóż dalej? co dalej?

— Ale cóż ma być? Nic.

— Nic, zapewne! będzie coraz większy kwas w domu, i dziecko schnąć będzie jak schło.

— Chceszże mu ją dać? mieczniku! zawołała pani Zboińska.

— Ja, ją? jemu? teraz, gdy odziedziczył jakąś tam fortunę, żeby ludzie mówili, żeśmy się na nią złakomili, i że póty, póki ubogim był, tośmy go za hetkę nie mieli, a teraz go honorujemy, bo w pierze porósł! Ale nigdy w życiu! nigdy w życiu!

Miecznik się w piersi uderzył:

— Ani wprzódy, ani teraz, ani nigdy mieć jej nie będzie.

Pani Zboińska przeszła się po pokoju z wolna.

— Mój jegomość, rzekła spokojnie: zmów pacierz, kładnij się spać, i dajmy temu pokój.

Miecznik nic nie odpowiedział, stał w oknie zadumany.

Następny dzień był smutny i kłopotliwy jak wszystkie jutra po ucztach. Jadzia się przez cały dzień nie pokazywała; mówiła, że była zmęczona i chora. Pod wieczór wyszła do ogródka. W rogu domu stał z rękami w tył założonemi Nikita.

— Nikita! — ty wiesz? — on żyje...

— E! panienko, uśmiechnął się dworak: jam o tem najdawniej wiedział, że on żyje... On-że przecię tu jechał najpierwej do nas, a państwo go z miasteczka odprawili w świat, żeby się nie ważył pokazywać. Ja do niego z tem jeździłem... i pieniądze mu woziłem, ale ich wziąć nie chciał...

Jadzia zbladła dziwnie.

— Mów, odezwała się cicho — mów mi wszystko: więc ojciec i matka wiedzieli?...

— A juścić, mówił Nikita. Jak mu zakazano się tu pokazywać, poszedł w świat nieboraczysko bez grosza. I dla tego musiał tę nędzną służbę przyjąć, a cierpiał taki niedostatek, żem go spotkawszy w Lublinie, znalazł bez grosza przy duszy.

— On był w Lublinie, gdyśmy tam byli?

— A był, ciągnął dalej Nikita; ale zaraz wyjechał, aby się nie narażać panu i pani.

Jadzia głową tylko skinęła Nikicie, i poszła dalej, ażeby ukryć wzruszenie.

W domu następnych dni było nie do zniesienia smutno i wyżyć trudno. Miecznik się nieustannie gniewał, łajał, rzucał i nic mu dogodzić nie mogło.

Z małemi odmianami humoru, tak upłynęło całe lato i jesień. Jesienią miecznik zapragnął pojechać do króla, i kazał się do drogi sposobić. Męczył go smutek Jadzi, którą kochał, ale był z niej wielce niezadowolony. O Janaszu od owego obiadu wcale mowy nie było.

Miecznik w wigilię wyjazdu do króla, wieczorem posłał po Jadzię, aby do niego przyszła.

Poruszony już wielce samą myślą o rozmowie, jaka nastąpić miała, Zboiński wcześnie okazywał niezwyczajny jakiś stan umysłu. Spojrzał na córkę, nie mógł się zebrać na słowo.

— Słuchaj-no Jadziu — odezwał się — raz się nam trzeba rozmówić otwarcie. Dusić się w sobie na nic się nie zdało. Przebierasz w uczciwych ludziach, co ci się stręczą, jak w ulęgałkach... popłakujesz, wzdychasz, czynisz siebie nieszczęśliwą, a nas tyranami; raz się to skończyć musi. Zawróciła się asindźce głowa, czy co u kata! pokochałaś przybłędę tego, Janasza. Nie mam nic przeciwko niemu, bo chłopiec uczciwy, ale mu daleko do tego, żeby śmiał po rękę córki mojej sięgnąć! Daleko! Na to ja nigdy nie pozwolę! Rozumiesz?!

Jadzia chwilę stała milcząca — a potem rzekła:

— Nie będę kłamała — kocham Janasza od dzieciństwa. Macie prawo mną rozrządzać, czyńcie co chcecie. Zabronicie iść za niego, woli waszej się nie sprzeciwię, ale u ołtarza innemu nie przysięgnę.

Podniosła głos i powtórzyła:

— Ojcze! tego nie możesz wymagać odemnie.

Miecznik się porwał z krzesła:

— Tak! — zawołał — na śmierć moją będziesz czekała! doczekasz jej rychło, bo ja sromu i cierpienia tego nie przeżyję...

— Ojcze, nie masz litości! — krzyknęła Jadzia — i padła.

Ojciec skoczył ją ratować, w rozpaczy bijąc się w piersi i głowę. Rozruch w całym domu powstał, wpadła miecznikowa: zaczęto cucić Jadzię i zaniesiono ją na łóżko. Zboiński w rozpaczy, że się uniósł, pobiegł ręce jej całować i uspakajać. Sądny dzień był w Mierzejewicach. Wieczorem Jadzia w gorączce leżała nieprzytomna, a rodzice płacząc siedzieli przy niej. Siedm śmiertelnych dni przeleżała tak walcząc między życiem a śmiercią, a gdy przybył z Krakowa doktor, znalazł ją osłabioną jeszcze, ale już ocaloną. Wstąpił duch w rodziców. Podróż naturalnie odłożona została, i mowy już o niej nie było.

W kilkanaście dni Jadzia wstała, zmieniona, osłabła, ale zrezygnowana i milcząca.

Gdy niebezpieczeństwo minęło, sama żona przypomniała mu podróż do króla. Miecznik wybrał się, pożegnał czule i pojechał, lecz bez tego zapału, jaki okazywał zwykle, gdy się wybierał w drogę.

W podróży ludzie, którzy się już byli przygotowali na niecierpliwość i łajanie, zdumieni zostali wielką powolnością pana, który nawet na ulubione konie swoje nie zwracał uwagi. Dostali się na Ruś. W Żółkwi, gdzie król bawił, zjazd był właśnie ogromny, nietylko senatorów i dygnitarzy Rzeczypospolitej, ale obcych posłów i gości. Miecznik wpadł w tłum cudzoziemców, których nie lubił. Pomimo tego natłoku, nazajutrz rano już mógł się dostać do króla. Zastał go na rozmowie z ks. Votą, który Sobieskiego najlepiej rozmowami uczonemi rozrywać umiał i bez którego się prawie chwili obejść nie mógł.

Zobaczywszy Zboińskiego, Sobieski zaraz witając go zawołał:

— Mieczniku, gorzej mi z domu własnego wracasz niż z niewoli! Zmizerniałeś, wychudłeś.

— N. Panie, rzekł miecznik — dom też ma swe kłopoty, a mnie i to gryzło, żem z W. K. Mością pod Jazłowcem i Żwańcem być nie mógł.

— Powetujemy to — odparł król, boć to jeszcze widzi mi się, nie koniec. Miałem za waszmości, choć już w ostatkach wyprawy jegomościnego wychowańca Korczaka, który się spisywał dzielnie.

Miecznik milczał.

— Musieliście go już widzieć, bom go z sobą do Żółkwi wziął. Bardzo mi się podobał i chcę się nim zająć. Wart tego.

Zboiński zmieszany nie wiedział co odpowiadać.

— Miałem go za ubogiego — dodał Sobieski, sądząc, że tą rozmową przyjemność uczyni miecznikowi — a no, okazuje się, że to chłop zamożny. Wystawił poczet, co się zowie, okazały.

Poszła tedy rozmowa o tegorocznej wyprawie i o Kamieńcu, który król koniecznie chciał uwolnić z rąk tureckich. Zboiński się rozgadał... i tak godzina upłynęła. A że i ks. Vota czekał, i Alberti Wenecyanin, który przy królu był, nadszedł, Zboiński pożegnał go i wysunął się do miasteczka.

Dowiedział się o Janaszu, i to mu humor zepsuło.

— Błazen jeden, mruczał w duchu: dowie się, że tu jestem, powinien przecie do mnie przyjść z pokłonem. Cóż? będzie się na mnie krzywił, żem mu do Mierzejewic jechać nie dał? Pal go dyabli! Juścić ja go nie pójdę przepraszać.

Tegoż dnia jednak Janasz się nie pokazał, i Zboiński z nim nie spotkał. Nazajutrz idąc do zamku, na drodze, spostrzegł miecznik Janasza w paradnym stroju rycerskim, dążącego też na zamek. Zetknęli się prawie oko w oko. Korczak zobaczywszy miecznika, żywo do kolan mu przypadł, z tak wielką i niekłamaną radością, z takiem uniesieniem, że stary o wszystkiem zapomniawszy, ściskając go rozpłakał się.

Miecznik czuł się względem niego winnym, nigdyby jednak do tego nie przyznał się pierwszy; teraz był złamany pokorą i łagodnością i oburzony przeciwko sobie samemu. Poszli razem, jak gdyby nigdy nic nie zaszło między nimi. Ponieważ Zboiński dnia tego miał się pokłonić królowej jejmości i być u dworu, Janasz go więc pożegnał, bo miał też zajęcia od króla dane.

Miecznik w duchu wyrzucał sobie winy swoje.

Za tem jednak wcale nie szło, ażeby miał zmienić przekonanie co do córki i małżeństwa. Chciał wynagrodzić Janaszowi niewdzięczność, lecz wcale innym sposobem — popierając go u króla, okazując mu dobre serce. Do Mierzejewic go nie zapraszał, o żonie i córce unikał przy nim wspomnienia.

Wesoły humor dawny p. miecznika uczynił go upodobanym królowej.

W rozmowie Marya Kazimira powinszowała miecznikowi wychowańca, gdyż i ona lubiła Korczaka, który był od kilku miesięcy przy dworze.

— Mam na niego zamiary — rzekła po cichu: — ładną pannę, piękny posag i dobre imię.

Utkwiło to w głowie starego, a że miał na dworze stosunki, dowiedział się, że królowa zamierzała swatać Janasza z margrabianką francuską, niemajętną panienką, ale świetnego rodu.

Wieczorem, gdy się znowu zeszli, zdala miecznik jął się rozpytywać i badać o ów spadek po sknerze. Janasz nie bardzo się z tego chciał spowiadać; w końcu jednak, zaspakajając ciekawość miecznika, wyliczył mu się ze wszystkiego, Zdumiał się mocno p. Zboiński... Całą noc potem spać nie mógł.

Raniuteńko poszedł na nabożeństwo do kościoła. Tu jak zwykle począł z sobą rachunek sumienia. Nigdy od dawna tak mu on źle nie wypadł.

Gdy się msza skończyła, wyszedł upokorzony i gniewny. Nie chciał nawet dłużej w Żółkwi bawić. Król w wigilię tego dnia dał mu był przywilej na starostwo. Miecznik rozmyślił się, i z obrachunku sumienia wypadło, iż z dyplomem za kontuszem do króla powrócił. Nikogo nie było.

— N. Panie, rzekł Miecznik, przyszedłem ręce W. K. Mości ucałować za łaskę jego, ale o nową prosić.

Król stanął zdziwiony. Miecznik dobył papier.

— N. Panie, uczyńcie to dla mnie, rozkażcie w kancelaryi przepisać starostwo na Korczaka. Ocalił mi życie, nie mam mu jak odwdzięczyć. Chleba z łaski bożej mam dosyć.

Pokłonił się do kolan.

— Dałbym mu drugie, odparł król, — ale rzeczywiście już nic do rozdania nie mam.

— Toby była łaska wasza N. Panie, a nie ofiara odemnie, a ja pragnę, aby to wziął z rąk moich.

— Oddaj mu starostwo, a ja pozwolenie dam — rzekł król — zgoda na to. Pokłoniwszy się Zboiński pobiegł do kancelaryi, i za kilka dukatów otrzymał zmianę przywileju.

W kieszeni go mając, poszedł śpiewając do gospody. Korczak miał nadejść. Zaledwie się we drzwiach ukazał, Zboiński go dawnym uśmiechem powitał:

— Jużem myślał, że cię owa margrabianka przytrzyma — rozśmiał się.

— Jaka? pyta Korczak, rumieniąc się — o żadnej w świecie nie wiem.

— Żartuj zdrów, królowa cię sama swatać ma.

— Mnie się o tem nie śni.

Miecznik zwrócił się szukając papieru, wziął go w ręce i stanął przed Korczakiem.

— Słuchaj — rzekł — służyłeś mi wiernie i poczciwie; odpłaciłem ci tak, żeś mnie za niewdzięcznego mógł poczytać. Spokojnie usnąć nie mogę. Rachunki nasze nieskończone. Król mi dał starostwo Mielnickie, a ja wyrobiłem u niego prawo oddania go tobie. Pozwolenie król podpisał. Witam cię, mój starosto.

I rzucił mu się na szyję.

Janasz padł mu do nóg.

— Pan mój, którego ojcem nazwać mogę, boś mi go zastąpił — nie czyń tego, proszę! Co mi po tem starostwie?

— Tobie nic po niem, ale mnie, mnie trzeba, abyś je odemnie wziął. W sumieniu mi lżej będzie. Inaczej, wieczny rozbrat!

— Słuchajże, panie starosto — dodał — jak tylko ci król da urlop — *czekam waszmości w Mierzejewicach.*

Jak p. miecznik wesoły do domu wrócił i przyjemnie żonę humorem swym zadziwił — o tem szeroko pisać nie widzimy potrzeby. Z Jadzią się przywitał po staremu, w czoło ją pocałowawszy.

Mówił wiele twarzą, ale ustami nic. Wytrzymał tak chwilę — potem niby obojętnie:

— Ale — ale — spotkałem w Żółkwi Janasza. Wiedzie mu się też, wiedzie... Król mu starostwo dał, a królowa jejmość chce go z jakąś Francuzicą ożenić. Myślę jednak, że to do skutku nie przyjdzie, bo... bo... *ja go do Mierzejewic prosiłem.*

Głos mu drżał. Jadzia skoczyła i padła do kolan płacząc.

— A tylko już tych szlochów dosyć — wybuchnął. Gdy źle — beczą; gdy dobrze — płaczą! Skaranie boże z temi łzami! Czegóż już więcej odemnie chcecie? Niechże będzie w domu wesoło.

Uściskał córkę.

A na tem kończy się historya Janasza Korczaka i pięknej miecznikówny, poczęta w rozbójniczem gnieździe.

KONIEC.

Założyciele „Roli".

Wiadomo, że niezgoda jest największem złem, jakie w narodzie zagnieździć się może. Wszystkie nieszczęścia, jakie kiedykolwiek spadły na naszą ojczyznę, były wynikiem niezgody. Po utracie wolności walki wzajemne na czas pewien ustały, ale nie na długo. W ostatnich kilkunastu latach niektóre jednostki, kierowane interesem osobistym i ambicyą, pod pozorem uświadamiania ludu, szły w ten lud i siały zarzewie niezgody. Jednostki te podburzyły nasze wioski, poczęły podjudzać sąsiada na sąsiada, poczęły nieść hasła zawiści i waśni pośród braci jednej ojczyzny. Ludzie, którym zależało na dobru powszechnem, chcieli temu złemu za wszelką cenę zapobiegać i zapobiegali jak mogli.

Do ludzi tych należeli również założyciele i pierwsi wydawcy »Roli«, panowie Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Wiedząc, że najskuteczniejszym środkiem wzbudzania miłości wzajemnej a zapobiegania szerzeniu nienawiści jest dobra gazetka, założyli tygodnik, który wkrótce pozyskał wielką liczbę czytelników. Nie szczędzili oni trudów lub kosztów, aby przeciwdziałać zgubnej robocie wichrzycieli różnego gatunku.



Dr. Jan Hupka.

Praca ich nie poszła na marne. Koło zdrowej myśli, jaką rzucała »Rola« ze swych szpalt, poczęło się gromadzić coraz więcej ludzi rozsądnych, którzy widzieli, że waśń społeczna tylko do zguby prowadzi a myśl ta rozchodziła się szerokim kręgiem po całym kraju i godziła powaśnionych. Lud wiejski począł się poznawać na próżnem krzykactwie a żądał pracy owocnej i wydatnej.

Ponieważ założyciele »Roli«, zajęci pracą na innych polach, nie mogli poświęcić swego czasu temu pismu, przeto wydawnictwo w ciągu roku 1911 przeszło całkowicie w inne ręce. Słuszność nakazuje, aby przy tej sposobności nowi kierownicy pisma złożyli publicznie hołd wdzięczności i podziękowania tym, którzy pismo nasze powołali do życia i przez pierwsze lata istnienia przy ogromnych trudnościach pomyślnie rozwijali.



Jan Kaczak.

Dr. Jan Hupka należy od kilkunastu lat nietylko do najwybitniejszych posłów sejmowych, ale także do najenergiczniejszych i odznaczających się największem poświęceniem obywateli kraju. Jako prezes Banku ziemskiego w Łańcucie, prezes Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, członek komisyi włości rentowych. rozwija działalność praktyczną na polu ekonomicznem, w Sejmie zaś i w stronnictwie swojem bierze znakomity udział w polityce kraju. Ta szeroka działalność p. Hupki wykazuje wiele poważnych rezultatów. Nazwisko jego stało się znanem w całym kraju, pierwszy bowiem podniósł w Sejmie potrzebę reformy agrarnej. Obszerny program, do którego urzeczywistnienia z niepospolitą, niebywałą u nas wytrwałością dążył i ciągle dąży, wydał już owoce. Instytucya włości rentowych zalicza do swoich twórców posła Hupkę, najważniejszym jednak plonem jego działalności w tym kierunku jest coraz to bardziej ujawniająca się zmiana poglądów włościaństwa na potrzebę reformy. Jeżeli Sejm spełni swoje zadanie w tym kierunku, wówczas stanie przed oczyma społeczeństwa w całej pełni myśl, zapał i trud, którymi poseł Hupka dąży do urzeczywistnienia swojego programu.

Poseł Hupka należy do tych obywateli, którzy przyszłość kraju widzą w zjednoczeniu wszystkich rolników. Wypływem tego jego przekonania było stworzenie w roku 1905 »Związku rolników polskich« i założenie »Roli«, która niejedną zwalczyć musiała trudność, aby dojść do dzisiejszego poważnego swojego stanowiska. Trudności te pokonywało wydawnictwo dzięki pracy i wytrawnemu kierunkowi posła Hupki.

Gorliwy współpracownik Dra Hupki, Jan Kaczak, niezwykle oświecony włościanin z Dąbrowicy w tarnobrzeskiem, działał dla »Roli« od samego jej początku. Jego to radom i pomocy zawdzięczała pierwsza redakcya »Roli« zbliżenie do świata włościańskiego, któremu chciała pożytecznie służyć i służyła. Od pierwszych narad nad treścią i układem pisma uczestniczył Jan Kaczak w ważniejszych posiedzeniach redakcyi, tłómaczył, wyjaśniał, przedstawiał potrzeby wiejskie. Wskazówki jego rozważano pilnie, rozumiejąc, że posiadają wielkie znaczenie dla rozwoju i wpływu naszego tygodnika. Prócz tego działał p. Kaczak osobiście przy rozszerzaniu »Roli« w jej początkach najtrudniejszych, jak wiadomo, dla każdego pisma. Jednał jej zwolenników, przyjaciół, korespondentów i współpracowników. Przedewszystkiem zaś pisał sam stale, wybornie, jak świadczą pierwsze roczniki »Roli«. Artykuły jego, przejęte zdrową myślą społeczną i narodową, ważniejszych kwestyi z życia małego rolnika. Pisał o sprawach ekonomicznych, oświatowych, narodowych, zawsze z serdecznem uczuciem miłości kraju i ojczyzny, z myślą współpracy wszystkich stanów dla dobra ogółu. W ciągłych stosunkach osobistych z wydawnictwem, noszącem podpis jego obok podpisu Dra Hupki, przybywał często do Krakowa, aby przysłużyć się ukochanemu pismu.

Dzisiejsza »Rola«, choć innemi rękami budowana, pozostanie zawsze wdzięczną za takie oddanie, za zapał i dobrą wolę obywatelską, którą okazali w tem dziele obaj założyciele-wydawcy. W stworzonem przez nich piśmie trwa dalej ta sama myśl, która im przyświecała, myśl szczęścia ludu polskiego, zbudowanego na oświacie, dobrobycie i miłości społecznej.

Nie wątpimy ani na chwilę, że ci dwaj założyciele »Roli« i w przyszłości, o ile im tylko czas ich cenny starczy, nie będą szczędzić poparcia dla pisma, którego stali się twórcami, a które ma za zadanie nieść zdrową myśl, nieść oświatę w najdalsze strony naszej Ojczyzny. Mając to przeświadczenie, patrzymy z otuchą w niezbadaną nigdy przyszłość, rokując »Roli« coraz większe szeregi stałych jej przyjaciół.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Wścieklizna.

Niema wśród zwierząt takiego przyjaciela człowieka, jakim od wieków jest pies. Już wiele gatunków zwierząt, wrogich dla człowieka lub niepożytecznych, wyginęło. O wilku, nie rzadkim w naszym kraju jeszcze przed kilkudziesięciu laty, utrzymują się wśród ludzi tylko legendy; czasem dzienniki doniosą o pojawieniu się w Tatrach niedźwiedzia, skazanego również na całkowitą zagładę.

Olbrzymi żubr i łoś, mimo opieki carskiej, dogorywa w puszczy białowieskiej. Podobnie giną dzikie zwierzęta w gorących krajach. W Afryce i Indyach maleją gromady słoni, coraz rzadsze tam lwy i tygrysy.

Do najwięcej rozpowszechnionych w świecie zwierząt należy bezsprzecznie koń, lecz i jemu, zdaje się, grozi powolna zaguba. Koleje, tramwaje, automobile wiozą od konia szybciej, lepiej i taniej i może przyjdzie kiedyś czas, że koń będzie należał do rzadkich zwierząt, hodowanych przeważnie w menażeryach. Jedynie psu nie grozi to niebezpieczeństwo. Na wsi będzie on zawsze stróżem i pomocnikiem w gospodarstwie, a w mieście współtowarzyszem i przyjacielnm. Mamy już kilkadziesiąt gatunków psa, ilość psów na świecie coraz się zwiększa, nawet po miastach, gdzie trzeba, stosunkowo, drogo je opłacać.

Ten przyjazny stosunek człowieka z najwierniejszem mu zwierzęciem psuje straszna choroba, jakiej pies podlega, zwana wścieklizną lub wodowstrętem.

W ciągu wielu wieków napróżno szukano środków leczniczych przeciw tej chorobie. Znana ona już była przed trzema tysiącami lat u Greków, a prawdopodobnie i wcześniej.

Pisarze rzymscy opisują, jak nieszczęśliwy, dotknięty tą chorobą, czuje zarazem palące pragnienie i nieprzezwyciężony wstręt do wody; radzą wypalenie ukąszonego miejsca gorącem żelazem. — Jeden z nich w przesądzie ucieka się do oryginalnego, niemniej zupełnie bezskutecznego środka, albowiem radzi ukąszonemu zjeść wątrobę wściekłego psa, który go ugryzł, inny pisarz poleca przeciw wściekliźnie połykanie ócz rakowych itp. I u nas w Polsce często zapadano na wściekliznę. Było wiele znachorów i znachorek, które podawały przeciw wściekliznie najrozmaitsze rośliny. Naturalnie że leczenie, polegające na zabobonach, nie mogło nic wskórać. To też dopóki się nie zajęła tą chorobą nauka i uczeni, nie wiedziano, co to jest wścieklizna i jak ją należy zwalczać. Przerażenie, które wścieklizna budziła dokoła, dochodziło do tego, że duszono nieszczęśliwych chorych poduszkami lub otwierano im żyły na rękach i nogach. Pierwszym, który poznał tę chorobę i nawet ją skutecznie zwalczał, był wielki uczony francuski, nazwiskiem Pasteur. Właśnie w tym roku upływa 25-lecie od chwili, kiedy po długich i kosztownych badaniach ostatecznie wynalazł potężną broń przeciw tej chorobie.

W roku 1880 pierwsze dwa psy wściekłe wstąpiły do pracowni Pasteura i odtąd rozpoczęły się prawdziwie naukowe badania nad wścieklizną.

Raz Pasteur zapragnął osobiście zaczerpnąć piany wprost z paszczęki chorego zwierzęcia. Olbrzymiego chorego buldoga wciągnięto na stół a Pasteur z głową pochyloną nad związaną, nawpół otwartą paszczęką psa, wciągał ustami w rurkę szklaną pianę do doświadczeń. Po dłuższych badaniach przekonał się, iż szczepienie śliny wściekłych psów zdrowym zwierzętom, nie zawsze wywołuje u nich wściekliznę; próbował więc szczepienia krwi, lecz i to go nie zadowoliło. Wreszcie doszedł do przekonania, że głównem siedliskiem tej choroby są nerwy, a przedewszystkiem szczyt mlecza pacierzowego, tak zwany rdzeń przedłużony. Póki jad nie dojdzie do ośrodka nerwów, może długo znajdować się w innych częściach organizmu, a może nawet nigdy do wybuchu choroby nie doprowadzić. Wobec tego Pasteur zaczął szczepić w krew zdrowych zwierząt odrobinki rdzenia przedłużonego wściekłego zwierzęcia z pod móżdżku w głowie; większa część w ten sposób zaszczepionych zwierząt wściekała się, ale nie wszystkie. Wówczas Pasteur umyślił szczepienie wścieklizny nie do krwi, lecz wprost u szczytu mlecza pacierzowego pod móżdżek, w błonę, która okrywa mózg. Okazało się, że każdy tak szczepiony królik, czy pies wściekł się po 8, 14, 18 lub 20 dniach. Już wiedziano więc, gdzie się znajduje siedlisko tej choroby i jak można najłatwiej się nią zarazić; chodziło teraz o to, jak ją należy leczyć. Genialny uczony rozpoczął więc dalsze badania. Zaczął suszyć cząsteczki zarażonego przedłużonego rdzenia królika, zawieszając je w wyjałowionych flaszeczkach nad żrącym potasem. Wedle stopniowego wysuszania cząstki te traciły stopniowo swoją zjadliwość, aż po dwóch tygodniach zjadliwość zginęła zupełnie. Takie już nieszkodliwe cząstki rdzenia, suszone przez 14 dni zaszczepił Pasteur jednego dnia zdrowemu psu; nazajutrz wszczepił przedłużony rdzeń 13-dniowy, dnia następnego 12-dniowy itd. aż do zaszczepienia psu przedłużonego rdzenia wściekłego królika, który tego samego dnia był skonał. Tak uodpornione psy wystawiał Pasteur na ukąszenie przez wściekłe psy, lub wstrzykiwał im wprost do móżdżku jadowity szczyt rdzenia psów, będących w najwyższym stanie wścieklizny. Wszystko napróżno; psy tak uodpornione nie zaraziły się; były zupełnie zabezpieczone przeciwko wściekliźnie. Tak więc wynaleziono już zapobiegawczy środek przeciw tej chorobie, chodziło teraz jak należy leczyć ludzi lub zwierzęta już zapadłych na chorobę wścieklizny. Uczony francuski z całym wysiłkiem pracował dalej, aż wreszcie dokonał tego, że obecnie zarażenie się wścieklizną można wyleczyć w każdym prawie wypadku za pomocą szczepienia, jeżeli tylko zarażony natychmiast po ukąszeniu zgłosi się do zakładu dla leczenia chorych na wodowstręt.

Pasteur opisał dokładnie chorobę. Zapewniał, że choroba wścieklizny nigdy nie powstaje sama ze siebie i, żeby zdrowe zwierzę się wściekło, koniecznem jest, aby jad wściekłego zwierzęcia np. przez ukąszenie, dostał się do jego krwi. Dlatego ta choroba jest nieznaną w Australii, bo tam prawo nie dozwala wprowadzać psów inaczej, jak po przetrzymaniu ich przez pewien czas w osobnem miejscu i że rozsądne środki zapobiegawcze mogłyby cały świat od niej uwolnić.

Dzięki więc francuskiemu uczonemu Pasteurowi świat pozbył się wielkiej trwogi przed wścieklizną. Dalej Pasteur spostrzegł, że choroba wścieklizny inaczej się objawia u psa a inaczej u człowieka. N. p. wściekły pies nie unika wody, owszem pije ją i nieraz przebywa wpław rzekę, natomiast człowiek dotknięty tą chorobą uczuwa zarazem ogrome pragnienie i nieprzezwyciężony wstręt do wody. Dlatego też choroba wścieklizny nazywa się u człowieka wodowstrętem. — Olbrzymi zakład Pasteura w Paryżu leczy liczne tysiące chorych z całego świata. I u nas w Krakowie jest zakład przeciw wodowstrętowi prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Odona Bujwida.

Dr. Wł. S.



W noc Sylwestrową.

Cisza wokoło, północ nadchodzi,
Starzec rok stary dobiega kresu;
Z za chmur, błękitów młodzian wychodzi,
Majestatycznie, pełen moresu.

Idzie powoli, jakby z wahaniem,
Idzie i śledzi swem bystrem okiem:
Jak starzec kończy życie konaniem,
A później znika gdzieś pod obłokiem...

Teraz już śmiało młodzian zstępuje
Z za górnych krain, na naszą ziemię:
Skrzydła roztacza i obejmuje
Pod swoją władzę, to ludzkie plemię.

Imię młodziana, to jest: Rok Nowy,
Tysiąc dziewięćset dwunastym, zwany —
Ach witaj nam Roku! witaj nam zdrowy!
Witaj, w nadzieję dobrą przybrany.

I cóż nam w darze niesiesz młodzianie?
Czyli radości, czy smutku wiele;
Jakie od Boga masz rozkazanie?
Któż to przewidzi i powie śmiele!...

Czyli tam może z Bożych wyroków
Tobie pisane, byś nas pocieszył!
Może ty masz być jednym z proroków,
Któryby serca nasze poruszył:

Do energicznej, wytrwałej pracy
A połączonej zawsze z oświatą!
Aby wróg poznał, że my Pol cy
Nie będziem zawsze jego zapłatą!

Cóż nam odpowiesz, ty Roku Nowy?
Jak my widziani będziem w twym progu;
Czy obiecujesz skruszyć okowy?
I nas wybawić z cierni i głogu?

Ach! ja już słyszę odpowiedź twoją,
A brzmi tak ona: Polski Narodzie!
Chociaż cię smutki i troski pcją,
Jednak z oświatą dąż ku swobodzie!

Walenty Pasierb.

Dziad i baba.

Obok lasu przy drodze stały dwie zagrody, oddalone dwa kilometry od wsi a były obie zamożne. W jednej była wdowa już niemłoda, Jadwiga z piętnastoletnią córką, ale wielka sknera i niechętna była, gdy ubogi przekroczył jej progi, i w samej rzeczy był nieszczęśliwy, który się tam pokazał. — W drugim domu był stary kawaler z matką swoją Jantek Osika, lecz ten był gościnny i litościwy dla ubogich i zarazem wielki figlarz. Tak Jantek postanowił starą Jadwigę nawrócić na drogę litości dla ubogich, ale go to kosztowało więcej pracy, jak gdyby uczył krowę w pługu chodzić.

Jednego razu pod wieczór, ubrał się w stare łachmany i przyprawił sztuczną brodę, żeby go nie poznała, wziął worek z kijem do ręki i fora do Jadwigi. Zastał ją, gdy zwijała nici, które tego dnia uprzędła, ale gdy go zobaczyła, postanowiła pozbyć się go z domu. Ale jak? Widzi dziada starego, krzywego, ale kij w ręce gruby, bary silne, figura wysoka a na domiar złego i ciemno. Jadwiga jednak była stanowczą, dziad nie dostanie nic, a z domu pójdzie.



Obiecała mu nocleg i wieczerzę pod warunkiem, żeby jej pomógł nici zwijać. Dziad z ochotą, położywszy u drzwi kij i worek, wziął się do pracy, nie przeczuwając, co go czeka. Dała mu koniec nici do ręki, żeby wyciągał jak najdalej, aż na podwórze, bo były splątane, a ona zwija dalej, postępując do progu za dziadem, a wreszcie trzask drzwiami i dziad na polu z nicią a baba w sieni z kłębkiem. Nie czekając długo, kij z workiem oknem w pole wyrzuciła.

— Coś zrobiła, kobieto, staremu nędzarzowi? — woła zbolały dziad — co powiedzą moi koledzy na to, że mnie starego, siwego, baba w pole na nici wyniosła, ale koniec mojej hańbie, na tej samej nici w nocy powieszę się u twojej strzechy przed oknami, a po śmierci mojej nie będziesz miała spokoju w domu odemnie, dopóki nie sprzedasz tej czarnej cieliczki i nie rozdasz na odpuście dziadom. Zapamiętaj to sobie.

Jantek, śmiejąc się w sercu z takiego obrotu rzeczy, poszedł do domu, rozebrał się i w te same łachmany ubrał dziada, którego zrobił ze słomy i na nici powiesił Jadwidze u strzechy.

Rano Jadwiga z corką, przestraszone, słowa wymówić nie mogąc, pobiegły do Jantka i bełkocą:

— Dziad... dziad... ni...ci o... wisi...

Jantek, udając przestraszenie, pyta się pilnie, co się stało, aż wybadał wszystko i mówi, że niepodobna, żeby nić dziada utrzymała, jednak Jadwiga twierdzi, że dziadowi pomógł zły duch i dał nici odpowiednią siłę.

Na prośbę Jadwigi Jantek dziada odwiązał i wywlókł do lasu, przyczem jednak Jadwiga nie była. Na drugą noc Jadwiga nocowała u Jantka, z czego Jantek jednak skorzystał, bo dziada z lasu w nocy przyniósł i położył na łóżku w domu Jadwigi. Gdy ta zobaczyła wisielca na łóżku, znów pędzi do Jantka i bełkoce:

— Ja... Jantek, kupisz cieliczkę na odpust dzia... dziadom, pie... pierzyna, wisielec.

Jantek poszedł, pochował łachmany, a dziada rozrzucił w stajni pod bydło Jadwigi, ta zaś swój dom na trzeci dzień wykadziła i wybieliła a tydzień później wprowadziła się jakby do nowego domu, ale z bólem serca, bo Jantek cieliczki sprzedać zabraniał a radził, żeby ubogiego i nie mogącego pracować nie puszczała z domu bez jałmużny. Skutek był dobry, bo już Jadwiga nie dawała nigdy ubogiemu do ręki nici, tylko kawałek chleba.

Wojciech Żak.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

II.

Odtąd pędziłem spokojne życie. Regimentarz coraz bardziej się do mnie przywiązywał. Cały czas spędzaliśmy ze sobą. Regimentarz niekiedy wypijał więcej niż zwykle i wówczas opowiadał ustępy ze swej przeszłości.

Z licznych tych pogadanek dowiedziałem się, że w zamku Grzymalskim, w jednej z komnat pierwszego piętra, zwanej »Sułtańską«, mieści się kosztowny klejnot rodzinny, »rubin wezyrski«, wzięty w namiotach Kara Mustafy pod Wiedniem. Regimentarz uskarżał się na ten kamień, który jakoby posiadaczowi przynosił zawsze nieszczęście i cieszył się, że z wyjściem zamąż panny Julii, będzie go mógł się pozbyć. Z powodu przesądu przywiązanego do tego klejnotu, trzymano go w owej komnacie, do którego wreszcie cały dom czuł pewną trwogę.

Co do mnie, wyzwoliwszy się oddawna z wszelkich przesądów, nie lękałem się ani własności owego rubinu, ani też sułtańskiej komnaty i postanowiłem bądź co bądź dostać się tam. Jakoż udało mi się wziąć klucz, który zresztą wisiał na widoku między innemi, w pokoju gospodyni domu, tak tu wszystko szło patryarchalnie, że nawet klucz do pokoju, w którym mieścił się tak szacowny klejnot, nie był schowany i pewnego pięknego poranku, gdy regimentarza nie było, poszedłem skrycie na pierwsze piętro. Uderzył tam moją uwagę dziwny portret kobiety, jak się później dowiedziałem, Fatymy, malowany przez jakiegoś mistrza w osobliwszem oświetleniu. Sam rubin zdumiał mię; był to kamień wielkości dużego orzecha laskowego, przepysznej barwy i blasku, ślicznie w brylant szlifowany, wartości nieoszacowanej. Poprostu byłem nim olśniony.



...zwróciłem uwagę ogrodników na światło.

Z papierów, przy nim będących, dowiedziałem się historyi tego kamienia, przekonałem się również, że on, wraz z ręką panny Julii, ma się dostać Holmowi. To mię wzburzyło; przysiągłem sobie, że rubin moim być musi. Że jednak nic mię nie nagliło, zostawiłem go na miejscu i czekałem przyjaznych okoliczności.

Tak stały rzeczy, gdy w jesieni, po skończonej wojnie, zjechały do Grzymały wnuczki regimentarza: panna Julia Bogdańska, panna Marya Wadwicz i nakoniec siostra jego, stara panna Antonina. Ożywiły się mury starego zamczyska. Panna Julia była bardzo dobrem dzieckiem, łagodna i cicha. Uderzyło mię jej nadzwyczajne podobieństwo do Fatymy, której portret widziałem w »Sułtańskiej komnacie«.

Panna Marya, był to, jak mówią Polacy, kozak w spodnicy. Charakter to na pół męski i energiczny. Ale na mój wielki żal, gdyż szanuję i ubóstwiam w kobietach silne i stanowcze charaktery, panna Marya nie lubiała mnie, nie wiem dlaczego. Lecz ja zawsze byłem dla niej z należną czcią.

Zato ciocia Antonina, każąca się nazywać Antoanettą, dość śmiesznie wyglądała. Jakoż śmiałem się nieraz szczerze z tej pretensyi, jak z wielu innych pretensyi starej panny.

Jednakże wkrótce względem tej ostatniej musiałem zmienić taktykę, a stało się to skutkiem wiadomości, jakich nabyłem o szacownej cioci. Dowiedziałem się mianowicie, że ciocia Antoanetta jest bardzo bogatą osobą, że fortuna jej wynosi sześćkroć sto tysięcy złotych i, co najciekawsze było dla mnie, że ma jeszcze nadzieję i chęć wyjścia za mąż. Tym mężem postanowiłem ja być.

Nieszczęściem, sama ciocia pewnego pięknego poranku wyznała mi, że zrobiła osobliwszy zapis, mocą którego cała jej fortuna przechodzi na wnuczki regimentarza, chyba żeby sama wyszła za mąż.

Dowiedziawszy się o tem, kląłem na czem świat stoi, tem więcej, że tym sposobem ten łotr Holm znowu weźmie trzykroć, a z czasem i wszystko, bo panna Marya prawdopodobnie nigdy za mąż nie wyjdzie. Ale ta właśnie okoliczność wzmogła we mnie chęć dopięcia swego i pomszczenia się jeszcze raz na Holmie, wyrywając mu z rąk krocie za tysiące, jakie on mi z rąk moich wyrwał.

Cały plan usnułem i począłem go wykonywać z właściwą mi zręcznością i stałością w przeprowadzeniu swego Stara panna brała się na lep jak mucha. W zamku nikt tego nie postrzegał, oprócz jednej panny Maryi, której bystrość pojęcia i przenikliwość odgadywała wszystko. Ale miałem za sobą regimentarza, który mię uwielbiał i na znak wdzięczności za ocalenie mu życia ufał mi zupełnie.

Przez ten czas Holm kilka razy przyjeżdżał do Grzymały, chcąc ostatecznie ułożyć termin swego ślubu. Panny odwłóczyły to z powodu niedawnej wojny, to wreszcie z innych okoliczności, a Holm nie mógł nic wskórać. Nalegał na mnie, żebym mu się starał dopomódz, jakoż tyle zrobiłem, że ostatecznie koło św. Jana miał być wyznaczony termin ślubu.

Tak stały rzeczy do chwili przybycia do Grzymały na kwatery ułanów pod dowództwem porucznika Kosy. Był już czerwiec, św. Jan niedaleko, a z nim bliski przyjazd Holma, okoliczności nagliły. Należało mi zdobyć rubin, ale tak, żeby podejrzenie na mnie nie padło, i ożenić się z ciocią. Poznawszy porucznika Kosę, poznałem w nim otwartość charakteru i silną wrażliwość, postanowiłem skorzystać z tego i użyć go do sprawy rubinu. W tym celu postarałem się, że go umieszczono w pokoju, sąsiadującym ze »Sułtańską komnatą«, rozmowami nastroiłem odpowiednio jego umysł, nakoniec nakręcałem umyślnie stary zegar w tajemniczych pokojach, ażeby pobudzić w nim ciekawość W pannie Antoanecie także podburzyłem ciekawość opowiadaniami o tych pokojach, w których nigdy nie była i kazałem jej namawiać porucznika, by starał się zbadać tajemnicę.

Spostrzegłszy nakoniec, że porucznik zakochał się w pannie Julii, skorzystałem z tego i opowiedziałem mu, że zbadanie tajemnicy rodzinnej odda mu tę rodzinę w ręce. Dość że stało się, jak chciałem.

Muszę tu jednak powiedzieć, że rubin od paru miesięcy był już w moim ręku. Uznałem bowiem za stosowne, na wszelki wypadek, skarb ten mieć u siebie.

Chcąc atoli, żeby wszystkie pozory kradzieży padły na porucznika, wystarałem się o świadka.

Owej więc nocy, w której przypuszczałem, że porucznik uda się do sułtańskiej komnaty, nakaza-

łem ogrodnikom czuwać pod pozorem, że owoce kradną ludzie ze wsi. Umieściłem ich w altanie ogrodowej, skąd dokładnie widać było okna owej sułtańskiej komnaty, sam zaś udałem się tam i czekałem na porucznika.

Do północy było cicho, choć dobrze słyszałem, że porucznik nie śpi. Ale stare zegarzysko ze zgrzytem i piskiem poczęło wydzwaniać dwunastą, porucznik zerwał się, odsunął szafę od drzwi dzielących jego kwaterę od tajemniczej komnaty i tak szybko drzwi otworzył, że ledwie miałem czas uciec.

Zaraz pobiegłem do ogrodu i zwróciłem uwagę ogrodników na światło, krążące po pokojach »sułtańskich«. Ludzie ci przerażeni byli tym widokiem, sądząc, że to duch zaklętej sułtanki przechadza się.

Miałem więc dwóch wiarogodnych świadków faktu. Okoliczność dla mnie szczęśliwa, fatalna dla porucznika, dała mi do ręki trzeci dowód. Nazajutrz o świcie poszedłem do »sułtańskiej komnaty« i przekonałem się, że porucznik zabrał ze sobą stare papiery, zawierające historyę rubinu i testament przodka Bogdańskich. Przyznaję się tutaj szczerze, że przekonawszy się o tem, niemal nie skakałem z radości.

Tegoż samego dnia miał przybyć do Grzymały hrabia Holm. Należało więc wszystko odrazu skończyć. Z panną Antoanettą ułożyłem się tak, że jak tylko termin ślubu Holma z Julcią zostanie postanowiony, na trzy dni przed tym terminem my weźmiemy ślub.

Wszystko zdawało się, że jak najlepiej idzie i w duszy radowałem się niezmiernie, że tak strasznie pomszczę się na Holmie. To napełniło mię słuszną dumą,

Porucznik po owej nocnej wycieczce wyjechał zaraz zrana do Stopnicy. Postanowiłem z tego skorzystać. Zawiadomiłem więc regimentarza, że spostrzegłem w nocy wraz z dwoma ogrodnikami światło w »Sułtańskiej komnacie«, że to prawdopodobnie był porucznik Kosa, że z uwagi na bliski ślub Holma z Julcią, należy się przekonać, czy kosztowny rubin jest na swojem miejscu.

Jakoż poszedłszy zaraz na górę do »Sułtańskiej komnaty«, w której regimentarz nie był od jakich pięćdziesięciu lat, przekonaliśmy się naocznie, że rubinu i papierów niema.

Nie będę tu opisywał rozpaczy regimentarza, nie z powodu straty rubinu, ale ze względu na to, co powie Holm. O stratę bowiem staremu Bogdańskiemu nie szło wcale, gdyż miał zabobon, że ten kamień przynosi nieszczęście temu, kto go posiada, i dlatego to trzymano go w takiem oddaleniu i samotności. Jedynie myślał o tem, że Holm posądzi go o oszustwo.

— Tu niema co rozpaczać — rzekłem — ale działać należy.

I nie pytając się go więcej, otworzyłem drzwi do kwatery porucznika, odbiłem zamek od szafy i znalazłem rękopis. Był to dowód oczywisty, że nie kto inny, tylko Kosa ukradł rubin.

— Teraz — rzekłem — mamy czem wytłómaczyć się przed Holmem. Nie ukryliśmy rubinu, ale skradziono nam go i wiemy, kto jest winowajcą.

Na skutek mojej rady i oporu regimentarza, żeby porucznika nie skarżyć sądownie, czego i ja chciałem, zawiadomiliśmy zaraz o tem jego bezpośrednią władzę, tj. rotmistrza stojącego w Kielcach. Uczyniłem to i w tym celu, ażeby sprawa ta nabyła pewnego rozgłosu, dla zmylenia wszelkich poszlak.

Tak się miała cała historya kradzieży tego rubinu. Pozostaje mi tylko jeszcze opowiedzieć koniec moich zamiarów względem panny Antoanetty.

Holm dowiedział się o moich zamiarach, oraz posądzał mnie o kradzież rubinu. Jakim sposobem doszedł do tego, nie wiem. Przypuszczam, że mię zdradziła służąca Zuzia, która nieraz pośredniczyła między mną a ciotką. Dość, że Holm rozgniewany na mnie, kazał mi natychmiast wyjechać z Grzymały. Niestety! musiałem mu być posłuszny. Udało mi się jednak w ciągu nocy skomunikować z panną Antoanettą i wymódz na niej przyrzeczenie, że przyjedzie w kilka dni po mnie do Warszawy i tutaj weźmiemy ślub.

I to mi się nie udało, dla jakich przyczyn, o tem wie najlepiej sam porucznik Kosa. Jakkolwiek żal mi krociów panny Antoanety, przecież pocieszam się tą myślą, że po mojem zeznaniu niniejszem, i Holm nie otrzyma ich. Zaklinam tylko porucznika Kosę, ażeby z zeznaniem tem jak najprędzej albo sam pojechał do Grzymały, albo je przesłał regimentarzowi.

Co do mnie, posiadając stosunkowo dość duży majątek, zapracowany ciężko i z narażeniem życia, jakoto: resztę sumy z kasy wojskowej i rubin, postanawiam udać się do Ameryki i tam pędzić żywot spokojnego obywatela na łonie swobody.

W Warszawie d. 11 lipca 1810 r.

Jan Jeniczanek
zwany także markizem Don Diego
Cantalacillo Fontiveras.

ZAKONCZENIE.

Taką jest ta dziwna i niezwykła historya wezyrskiego rubinu, którą autor opowiedział tutaj według własnoręcznych zeznań głównych aktorów tego dramatu. Chcąc jednak dowiedzieć się, jakie były dalsze ich losy, zasięgał wiadomości od ich potomków i tyle mu tylko powiedziano, że porucznik Kosa wytoczył proces, żądając przywrócenia sobie czci, który to proces oczywiście wypadł na jego korzyść.

Pewnem jest także, że ożenił się z panną Julią Bogdańską. Następnie wstąpił powtórnie do wojska i zginął, według tradycyi rodzinnej, w stopniu majora piechoty, bo w piechocie teraz służył, przy pamiętnej przeprawie przez Berezynę pod Studzianką w roku 1812.

Oto co autor mógł się dowiedzieć i tem chętnie dzieli się z czytelnikami. O losach innych osób nie umiano mu nic powiedzieć. Ponieważ zaś całe niniejsze opowiadanie jest wierną opowieścią faktów z niedalekiej przeszłości, uznał więc za stosowne nic nie dodawać i nic nie tworzyć, co nie byłoby prawdziwem.



KONIEC.



MACIEK BZDURA GADA:

Na świenta taką kupę różnych pisaniów otrzymałem, ze jaz się liściowy, co je z pocty niósł, pod niemi uginał. Gospodyni wylecieli na drogę przed niego, bo myśleli, ze jem pierzynę z miasta dźwiga. Ale ja, jako to jestem cłek bywały, zaraz poznałem, ze to nie pierzyna, ale pisanie do mnie. Kto insyby ta nie poznał, ale ja...

Ino liściowy przysed i wysuł to wszyćko na stół, tak zaraz wołam gospodarza i padam:

— Chodźcie i cytajcie, cego tam ludzie kcom.

Gospodarz wybałuscyli ocy i padają:

— Cie go! a to ci choroba z tego Maćka, co on to pisaniów dostał, kieby minister jaki, abo inksy hadukat.

— Nie bajajcie — ja na to — ino cytajcie, bo nie wiadomo, cego komu trza. Z pisania wyrozumiwa, komu co doliga i rada się znajdzie. Moze, Panie broń, kago kolki sparły, albo inksa okoliczność go dręcy, to się to wszyćko rozwazyć musi dokumentnie i stosowną radę znaliść.

Wsadzili gospodarz okulary na nos i pocęli papir po papirku oglądać.

Co wam tam nie było napisane — strach! Samych zyceń na święta było kilka kóp a w nich tyle dobroci, ze jakby się ich choć odrobinka spełniła, toby mi wystarcyło scęśliwości do śmierci i jesce po śmierci na parę tygodni. Ale oprócz takich ogólnych zyceń były i takie tymcasowe, z których ani mnie ani nikomu ani odrobina nie przyjdzie. Jedni pisali: »Nie zeń się Maciek z Myrdalonką, bo cię zarnówicą wymyrda«; a drudzy pisali: »Zeń się Maciek z Kaśką, bo baba w sobie urodna, to grunt!« I co teraz robić? Jak dogodzę jednemu, to nie dogodzę drugiemu; jak dogodzę drugiemu, to pirsi będą psiocyć. Tak to juz jest na świecie, ze trudno wszyćkiem dogodzić.

Między papirami to były i takie pisania, w których mie rózne dzieuchy prosiły, abym ich w panieństwie nie osirocał i nie jechał do Ameryki abo gdzie indziej.

Uśmiałem się śnich, bom zaraz poznał, ze to musiał Bartek Gwizdała bajek na mnie narobić i rozpedzioł, ze ja do Hameryki chcę świsnąć.

A cy ja to głupi, abym swoją kochaną ojcyznę rzucał a sed między obcych pludraków i ich kąty wycirał. O, to się nie stanie i ja nikaj za granicę nie pójdę, ino słuzbę zmienię, bo mi juz moja gospodyni zbrzydła a i starsi padają, ze przy jednej gospodyni to i kot zdechnie.

Jak pedziołem, nie jadę nigdzie, ino się na nową słuzbę do insy wsi przenosę, skąd w »Roli« będę gadał ciągle. A co się ze mną i z Kaśką stanie, to uźrycie na drugi rok, ino gazyciarzom grajcary na »Rolę« posyłajcie zaraz, bo kto nie przyśle, to mu nic nigdy nie powiem.

Z TYGODNIA.

Wybór uzupełniający posła na Sejm krajowy. Przy wyborze uzupełniającym posła na Sejm krajowy z kuryi gmin wiejskich obwodu bialskiego, w miejsce śp. ks. Stanisława Stojałowskiego, wybrany został Dr. Stanisław Łazarski.

Z parlamentu austryackiego. Dnia 20 bm. odbyło się ostatnie w tym roku posiedzenie Izby poselskiej. Następne posiedzenie odbędzie się, wskutek obrad Sejmów krajowych, trwających przez styczeń i luty, dopiero z końcem lutego przyszłego roku. Głównym przedmiotem obrad sesyi wiosennej będzie nowa ustawa wojskowa. Izba w ubiegłych miesiącach uchwaliła między innemi prowizoryum budżetowe do końca czerwca 1912. Wnioski posłów polskich, zmierzające do podniesienia chowu bydła, oraz załatwiono rezolucyę, dotyczącą zniesienia podatku domowego od budynków jedno- i dwuizbowych. Kolejarzom przyznano podwyższenie płac o 38 milionów koron.

Prześladowania na Litwie. Z Wilna donoszą, że władze szkolne w Wilnie wydały do dyrekcyi szkół okólnik, polecający surowe przestrzeganie przepisów regulaminu z roku 1903. Wśród przepisów tych znajdował się zakaz używania języka polskiego w murach szkolnych między uczniami, który dziś ponownie surowo nakazują przestrzegać. W konstytucyjnej więc Rosyi, w stolicy Litwy, mieście przeważnie polskiem, nie wolno uczniom Polakom w szkole rozmawiać ze sobą polsku!

Spotkanie monarchów. W Berlinie obiega pogłoska o spotkaniu, mającem w krótce nastąpić pomiędzy cesarzem niemieckim a królem Jerzym angielskim. Dzień spotkania jeszcze nie jest wyznaczony; prawdopodobnie jednak nastąpi ono w czasie powrotu króla Jerzego z indyjskich uroczystości koronacyjnych. Ze względu na panujące pomiędzy Anglią a Niemcami naprężenie miałoby takie spotkanie niemałe znaczenie polityczne.

Wojna włosko-turecka. Z Rzymu donoszą, że w rządowych kołach włoskich nie przypisują żadnego znaczenia pogłoskom o możliwości rychłego zawarcia pokoju. Rząd turecki tak łatwo do zawarcia pokoju nie doprowadzi, gdyż liczyć się musi z opinią ludności tureckiej, nienawidzącej Włochów. Zresztą czynią Włochy daleko idące przygotowania w celu dalszego prowadzenia wojny, i chociaż w zasadzie zgodziłyby się na zawarcie pokoju, uczynią to jednak tylko wtedy, jeśli Turcya spełni żądania ich, wyrażone przed wojną. Na małe ustępstwa Włochy ostatecznie zgodziłyby się.

Rewolucya w Chinach. Książę regent chiński, tj. sprawujący władzę za cesarza, ustąpił wobec żądań rewolucyonistów, by zrzekł się władzy. Regent ma otrzymać pensyę, wynoszącą rocznie 50.000 taelów (około 200.000 koron). Za rząd odpowiedzialni są obecnie ministrowie i prezes ministrów, Juan-szikaj. — W mieście Szangaju odbywały się narady deputowanych z 14 prowincyi powstańczych. Na zebraniu tem uchwalono zaprowadzić tymczasowe rządy z dyktaturą wojskową i ogłosić miasto Nanking stolicą kraju. Przez pewien czas trwało następnie zawieszenie broni między powstańcami a wojskiem rządowem. Dnia 20 b. m. przedłużono je o tydzień, niema wszakże podobno nadziei, aby obecnie rządząca dynastya mandżurska utrzymała się przy władzy, rewolucyoniści mają bowiem znaczne siły i zyskują zwolenników w całem, olbrzymiem państwie chińskiem.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Przedewszystkiem dziękujemy kochanym Przyjaciołom i Czytelnikom naszym za setki życzeń, jakie otrzymaliśmy z okazyi świąt Bożego Narodzenia. Wszelkie te miłe słowa są nam zachętą do dalszej pracy dla dobra naszych Czytelników i całej naszej Ojczyzny.

Numer niniejszy jest ostatnim w tym roku — następny otrzymają już tylko ci, którzy prenumeratę odnowili, lub odnowią na rok 1912, gdyż na kredyt z reguły nie wysyłamy.

Wobec licznych życzeń przedłużyliśmy termin brania udziału w losowaniu **Podarków** szczęścia tak, że kto jeszcze w pierwszym tygodniu stycznia nada na pocztę pieniądze prawo do losowania miał będzie. Dlatego też ci wszyscy, którzy do 6 stycznia pieniądze na całoroczną prenumeratę wyszlą prawo to mieć jeszcze będą. Przypominamy, że Podarków szczęścia będzie tak wielka liczba, iż każdy ósmy caloroczny prenumerator podarek otrzyma. Prosimy więc o pośpiech w wysyłce pieniędzy.

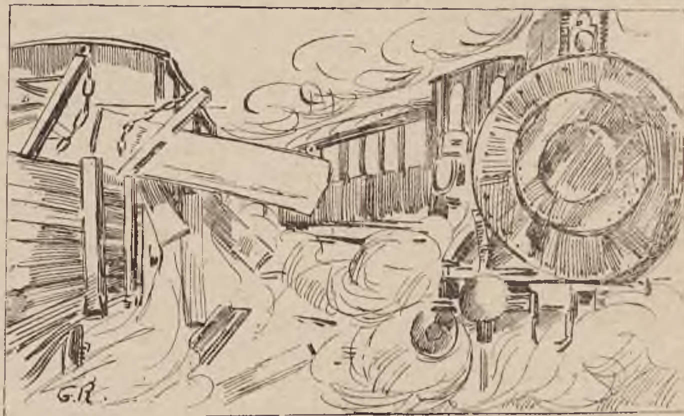
Okładki na r. 1912 otrzymają ci wszyscy, którzy nadesłali pieniądze po 50 hal. — w sobotę 30 lub w niedzielę 31 b. m.

Wyniki konkursów z 1911 r. na powiastki, wiersze, humoreski i kroniki podamy w przyszłym numerze, gdyż ze względu na przyspieszoną pracę przedświąteczną czasu nam obecnie brakło do ugrupowania i oceny tak obszernego materyału.

Nowa Czytelnia. Staraniem czynników miejscowych została w Miłocinie, małej wiosce powiatu rzeszowskiego, założona Czytelnia TSL. Już bardzo dawno czyniono kroki w tym celu, lecz dopiero tego roku uskuteczniono nasze życzenie. Koło miejscowe TSL. w Rzeszowie ofiarowało naszej wiosce 90 książek i wysłało w celu założenia czytelni, jako prelegenta do naszej wsi profesora gimnazum w Rzeszowie p. Jana Pęckowskiego. Profesor ten, dla gorącej pracy na polu oświaty, cieszy się wielką sympatyą uczniów, Rzeszowian i ludu okolicznego. I my także bardzo się ucieszyli jego przybyciem. Odczyt wygłoszony przez p. profesora, na temat »Historyi Polski« za Piastów, połączony z obrazami świetlnymi, bardzo nas ucieszył i zachęcił, za co mu z całego serca dziękujemy. To ziarno, jakie pomiędzy nas rzucił p. Profesor, trafiło na dobrą glebę i przyjęło się. Praca i trud tego Profesora nie poszły na marne i gdy p. Profesor zechce zaglądnąć do nas, ucieszy się i powie, że Miłocinianie nie śpią, lecz jak tylko mogą korzystają z dobroci TSL. Jeszcze raz składamy mu z całego serca podziękowanie, wypowiadając staropolskie »Bóg zapłać«. Nie zapominamy także i o Dyrektorze szkoły ludowej w Rzeszowie p. Siekierskim, któremu po największej części mamy zawdzięczać założenie Czytelni w Miłocinie. Niech im za to Bóg zapłaci. — *Domino Władysław*, nauczyciel. *Franciszek Wierzchałek*, naczelnik gminy.

(K. K.) **Nieszczęśliwy przypadek.** Dnia 14 b. m. w Międzybrodziu przy zwózce drzewa poniósł śmierć Jan Pyrtek w wieku lat 23. Drzewo zesunęło się z góry, trafiło na nieszczęśliwego, który był na dole i strzaskało mu głowę. Prawie martwego, dającego słabe znaki życia, przywieziono do domu.

Groźne niebezpieczeństwo. W połowie listopada pewnego dnia około południa zdążał w kierunku Lwowa pociąg, wiozący robotników z Prus. Lokomotywa pociągu była zepsuta i para, uchodząca bokami lokomotywy, zasłaniała jadącym cały boży świat. Naraz dał się słyszeć w całym pociągu okropny łoskot, jakby znak jakiejś przerażającej katastrofy. W pociągu powstał zaraz straszny popłoch, ludzie biegali z wagonu do wagonu, pytając z trwogą, co się stało i czy są jakie ofiary.



Nareszcie zdołano dociec przyczyny przerażającego łoskotu. Oto z naładowanego wielkiemi deskami wozu pociągu ciężarowego, zdążającego w przeciwnym kierunku, zesunęła się jedna z desek i, wystając sztorcem, w chwili szybkiego mijania się pociągów uderzała straszliwie o boki wagonów drugiego pociągu, dopóki nie została strzaskana na drzazgi. Robotnicy jednak, jadący w tych wagonach, nic nie widzieli, z powodu gęstych kłębów pary, uchodzącej z lokomotywy. Wielkie zaiste szczęście, iż z pośród tylu ludzi nikt w danej chwili nie stał w oknie z wychyloną głową i że w chwili, gdy rozległ się straszny trzask, tłumnie nie rzucono się do okien, gdyż w takim razie nie obeszłoby się bez kilku wypadków śmierci lub ciężkich kalectw. Gdy ludzie, jadący w tych wagonach, dowiedzieli się, co im przed chwilą groziło, uczuli mróz w żyłach... Obrazek nasz przedstawia to grożące niebezpieczeństwo w podróży.

Gdzie jest Siczyński? Dzienniki londyńskie donoszą, że Mirosław Siczyński, morderca namiestnika ś. p. hr. Potockiego, kilka dni temu wylądował niepostrzeżenie w Nowym Jorku i stamtąd udał się w dalszą drogę do Kanady. Według pogłoski, jaka nadeszła do Londynu, udało mu się znaleźć dobre schronienie i ma on nadzieję, że wyśledzony nie będzie. Wiadomość powyższą należy przyjmować z niedowierzaniem. Według zgodnej opinii władz śledczych w Galicyi, Siczyński ukrywa się w jakimś zapadłym kącie na Rusi i dopiero, gdy osłabnie czujność poszukującej go policyi, wybierze się w podróż za morze. Pogłoska o jego wylądowaniu w Kanadzie rozpuszczona jest prawdopodobnie w tym celu, aby odwrócić uwagę władz galicyjskich od istotnej kryjówki Siczyńskiego. W każdym razie Rusini wybornie przygotowali i ucieczkę i ukrycie mordercy, kiedy dotąd mimo gorliwych poszukiwań, na jego ślad nie natrafiono.

Zabawny obrazek z sądu. Sklepikarz z przedmieścia zaskarżył jakąś poczciwą kobiecinę i męża jej o 54 koron za pobrane na kredyt wiktuały. Babula staje sama wobec sędziego i uznaje dług. Chodzi tylko o jakaś ulgę w spłacie. Oto przebieg rozmowy pomiędzy sędzią a pozwaną.

— A więc jakbyście też mogli dług spłacić?

— Nie mogę płacić wiele.

— Wszakże jesteście zamężną. Kasper to chyba wasz mąż sprawiedliwy.

— Rozumie się, ożenił się ze mną, ale wiktuały były kupione.

— Cóżeś, moja kobieto, robiła przed zamążpójściem?

— Byłam stanu wolnego.

— Oczywiście. Ale proszę mi też powiedzieć, ile tak mąż wasz zarabia miesięcznie?

— On nic nie może płacić.

— Czem on się zajmuje?

— Jest chory.

— Ale kiedy jest zdrów, co też robi wtedy?

— Wtedy nie ma roboty.

— Nie chcecie mnie rozumieć, moja dobra kobiecino. Pytam się, jakiego rodzaju zarobnikiem jest wasz mąż? Czem on się trudni?

— Szuka roboty.

— A wy?

— Czekam, aż ją znajdzie.

— Ależ, proszę mi powiedzieć, jak żyjecie?

— Żyjemy jak możemy.

— Macie rodzinę?

— Pewnie, sześcioro dzieci.

— Czy są na waszem utrzymaniu?

— Nie, są pochowane na cmentarzu.

Sędzia, zrozpaczony temi odpowiedziami, a jednak, litując się nad biedaczką, nakłania wierzyciela, ażeby przyjął zapłatę w 10 miesięcznych ratach i na tem sprawę kończy.

(F. K.) **Pies policyjny wykrył złodzieja.** Do niejakiej Bojkowej, w Cieszynie, przyszli niedawno jacyś złodzieje i skradli jej 13 kur. By złodzieja łatwiej dostać, przyprowadzono na miejsce kradzieży psa policyjnego. Ten za śladami poszedł do mieszkania murarza, niejakiego Balasa, u którego znaleziono jeszcze kilka zabitych kur. Balasa, który się do kradzieży przyznał, aresztowano.

Napad wilków w jesieni. Zazwyczaj dopiero podczas twardej zimy, gdy wilkom głód dokuczy, podchodzą nocami do wsi i napadają nawet na ludzi. Ale na Bukowinie napad wilków zdarzył się już tej jesieni w październiku. Pewnej niedzieli około godziny 3 popoł. jechał wózkiem, zaprzężonym w jednego konia włościanin nazwiskiem Dmytro Czejczyn.



W chwili, gdy przejeżdżał obok dużego łanu kukurudzy, wypadły z niej nagle dwa wilki i rzuciwszy się na konia, obaliły go na ziemię i rozdarły w jednej chwili, chłopa zaś, który rozżarte i zapewne głodne zwierzęta usiłował rozpędzić batem, pokaleczyły w dotkliwy sposób. I kto wie, jakby się skończyła ta beznadziejna walka, gdyby nie ludzie, którzy, bawiąc przypadkowo w pobliżu, na krzyk Czejczyna przybiegli i rozjuszone zwierzęta rozpędzili.

Pożar podczas jasełek. Przy urządzaniu »Gwiazdki« dla biednych dzieci w dzielnicy II w Wiedniu wystawiono także »Jasełka«, w których brały udział dzieci. Podczas przedstawienia zapaliły się od świeczki brody, przyprawione trzem chłopcom a następnie ich ubrania. Ogień z trudnością stłumiono. Trzech chłopców odniosło bardzo ciężkie rany. Także ks. Faliński i jeden nauczyciel, którzy brali udział w gaszeniu ognia, zostali poważnie poparzeni.

Podróż poślubna balonem. W Linzu stolicy Górnej Austryi odbyły się zaślubiny nadporucznika pionierów W. Königa z córką jenerała, L. Schmidtówną. Po ślubie młodzi małżonkowie udali się w podróż balonem »Salcburg«, danym im do rozporządzenia przez arcyksięcia Józefa Ferdynanda. Koledzy pana młodego przyozdobili łódkę kwiatami, a podczas odjazdu był obecny także arcyksiążę, który pannie młodej wręczył wspaniały bukiet. Odjazd wobec tłumów publiczności nastąpił o godzinie 11 przed poł., a o 2 popoł. małżonkowie wylądowali szczęśliwie o kilka mil na południe.

Sprawa Macocha. Pisma warszawskie donoszą, że akt oskarżenia w sprawie Macocha został zatwierdzony przez władze sądowe w Warszawie. Oskarżonych jest 8 osób: 1) Damazy Macoch, 2) Izydor Starczewski, 3) Bazyli Olesiński; z osób świeckich: 4) Helena Krzyżanowska, 5) posługacz szpitalny, Józefat Błaszczykiewicz, 6) ślusarz Pertkiewicz, 7) woźnica, Wincenty Pionka i 8) pieczętarz, Lucyan Cyganowski. Są oni oskarżeni o morderstwo i udzielanie pomocy mordercom, oraz ukrywanie śladów zamordowania Wacława Macocha. Dalej są oskarżeni o dorobienie kluczy do skarbca klasztornego, wykradzenie 10.000 rubli z ofiar, listów zastawnych na 5.000 rubli zmarłego zakonnika, Jana Gawełczyka, oraz o fałszowanie metryk i pieczęci. Damazy Macoch jest także oskarżony o poślubienie Heleny Krzyżanowskiej pod fałszywem nazwiskiem. Wszystkim oskarżonym grożą ciężkie roboty.

Macoch oczekuje podobno terminu sądowego z wielkim niepokojem w więzieniu w Piotrkowie, i wypytuje służbę więzienną, czy nie wie ona, jak jego sprawa stoi. Pomimo troski o los swój, człowiek ten jest bardzo dbały o swoje zdrowie; przy najmniejszej słabości wzywa lekarza. Lubi on również dogadzać sobie, to też gotówkę, jaką posiadał podczas aresztowania go w roku zeszłym, prawie wyczerpał. Starczewski nieco inaczej jest usposobiony. Spędza całe dnie milczący, rzadko kiedy odezwie się do dozorcy, odwiedzającego jego celę, a jeżeli czasem jest zapytany o co, odpowiada z westchnieniem, że ciężko zbłądził, ale zbrodniarzem i świętokradzcą nie jest. Co zaś do Krzyżanowskiej, to ona jest najmocniej przekonana, że będzie przez sąd uniewinniona. Boleje tylko nad tem, że rodzinie swojej zadała ciężki cios tem, iż wmieszano ją do sprawy Macocha.

Zuchwały napad na pociąg. Ze Skierniewic, w Królestwie Polskiem, donoszą o niezwykle zuchwałym napadzie na pociąg, odchodzący z Granicy. Napadu dokonano w zeszłym tygodniu. O godz. 3·29 pociąg odszedł z Rogowa w stronę Skierniewic, a po ujechaniu kilku wiorst został zatrzymany przy pomocy automatycznych hamulców. Rozległo się echo wystrzałów rewolwerowych, równocześnie poczęto wołać: »Nie wychylać się!« Jakiś elegancko ubrany mężczyzna wyskoczył z przedziału II klasy, równocześnie z innych przedziałów wypadło grono ludzi, przestrzegając publiczność przed wychylaniem się. Grupa mężczyzn wypadła z lasu pobliskiego i przyłączyła się do napastników. Rzucono się na wagon, którym przewożone bywają do Warszawy zapasy kasowe i poczęto rozbijać kasety, zabierając złoto i banknoty. Drobną monetę pozostawiono nietkniętą. Ogółem zrabowano około 20.000 rubli. Rabunek trwał około 10 minut, poczem rabusie zbiegli, pozostawiając w wagonie zrabowanym zatknięty sztandar czarno-czer-

wony z trupią głową. I znowu upłynęło około 10 minut, zanim służba kolejowa ochłonęła nieco z przestrachu i pociąg ruszył dalej. Ze Skierniewic ruszono w pościg za bandytami, lecz pozostał on bez rezultatu. Sprawcy napadu znikli jak kamfora.

Pod kołami pociągu. W Niemczech rozegrała się niedawno straszliwa walka pomiędzy dróżnikiem kolejowym a starym kapitalistą Satorem, który stanąwszy na torze kolejowym, oczekiwał na pociąg pospieszny, zamierzając w ten sposób pozbawić się życia. Dróżnik dobywał wszystkich sił, aby desperata zepchnąć z szyn, ten jednakże był silniejszy. Uchwyciwszy się szyn, nie puścił ich, aż pędzący pociąg błyskawiczny zmiażdżył go za chwilę.

Męczeństwo dwojga dzieci. Na dwa miesiące więzienia zasądziła berlińska izba karna dorożkarza, Dollenga, za nieludzkie obchodzenie się z dziećmi. Barbarzyńca ten, wychodząc rano z domu przywiązał dwoje najmłodszych dzieci postronkami do łóżka w taki sposób, że nie mogły się zupełnie ruszać i musiały w tej samej pozycyi oczekiwać wieczoru. Dwoje zaś starszych dzieci wypędzał na cały dzień na ulicę, aby zabezpieczyć w ten sposób meble przed zniszczeniem.

Zadżumiony okręt. Do jednego z portów francuskich przybył okręt z wyspy Jawy, leżącej na północ od Australii, i zdaleka już dawał sygnały, że wśród jego załogi wybuchła groźna zaraza, dżuma. Lekarzowi, który się udał natychmiast na pokład statku, przedstawił się okropny widok. Wśród trupów rozłożonych na pokładzie, wiło się w boleściach pozostałych dziesięciu ludzi z załogi, jedynie tylko dwóch kuchcików krzątało się wśród nich, niosąc im pomoc. Cały okręt oblężony był formalnie przez dzikie łabędzie i szczury. Badania wykazały, że chorzy nie poumierali ani na cholerę, ani na dżumę, lecz że wśród załogi panowała jakaś osobliwa choroba. Chorzy, przeniesieni do szpitala, zmarli również po kilku dniach w strasznych męczarniach.

Latawce tureckie w wojnie o Trypolis. Włosi użyli pierwsi w tej wojnie latawców. Lotnicy włoscy, unosząc się nad arabskimi i tureckimi oddziałami, rzucali z powietrza na nie mordercze pociski. Aby dodać ducha swojemu wojsku i zarazem pokazać, że latawce nie są cudownym włoskim wynalazkiem, rząd turecki zamierza także sprowadzić do Trypolitanii latawce i użyć ich przeciw Włochom. Niedawno doniosły dzienniki, że ambasador turecki w Paryżu stara się o zaangażowanie kilku lotników francuskich do służby w Trypolisie.



Turcy mają zresztą sami kilku oficerów, obznajomionych ze sztuką lotnictwa a przed niedawnym czasem wysłano z Konstantynopola kilka maszyn latających do Tunisu i do Egiptu, skąd na wielbłądach mają być przewiezione do Trypolitanii.

Walka o chorągiew. W szeregu obrazków z wojny o Trypolis podajemy dziś zaciętą walkę między przeważającym liczebnie oddziałem włoskim a chorążym arabskim.



Trzyma on zieloną chorągiew proroka (Mahometa) i nie chce jej wypuścić z ręki, zanim nie odda ostatniego tchnienia. Na chorągwi takiej przedstawiona jest gwiazda i nad nią półksiężyc mahometański.

Koronacya w Indyach. Akt koronacyi króla angielskiego Jerzego na cesarza Indyj dokonany został w indyjskiem mieście Delhi. Odbył się on z niesłychanym, malowniczym przepychem wschodnim, roztoczonym przez biorących udział w uroczystości książąt indyjskich we wtorek 12 grudnia. Ulice Delphi napełniły rzesze krajowców, przybywających z odległych nawet prowincyj na obchód koronacyjny. Gubernatorowie angielscy prowincyj indyjskich dążyli na plac uroczystości w pojazdach rządowych, książęta indyjscy w karocach, połyskujących blachami srebrnemi i złotemi. Królewska para opuściła przygotowane dla niej namioty o godzinie 11 min. 30. Poprzedzała ją eskorta huzarów, za którą ciągnęły oddziały wszystkich pułków krajowych wraz z artyleryą. Na miejscu koronacyi, u stóp ustawionego pod obszernym baldachimem złocistym podwójnego tronu, powitał parę monarszą wicekról Indyj, lord Hardinge, orkiestry wojskowe zaś zaintonowały hymn państwowy angielski, poczem król i królowa wstąpili na platformę tronową. Król otworzył uroczystość mową, przyjętą okrzykami pełnymi zapału. Po mowie króla zabrzmiał marsz koronacyjny, poczem odczytano proklamacyę koronacyjną, której para królewska wysłuchała stojąc. Imieniem cesarza Indyj odczytał następnie wicekról Hardinge akt łask cesarskich — w pierwszym rzędzie ofiarę 5 milionów rupij (moneta indyjska) na cele szkolnictwa w Indyach. Przed zakończeniem uroczystości obwieścił król Jerzy, że odtąd stolicą Indyj będzie miasto Delhi.

Umarły — który mówi! Ciekawy wypadek podają amerykańskie dzienniki. Przed niedawnym czasem zmarł we Filadelfii inżynier Teodor Bayley. Powodem śmierci było zapalenie ślepej kiszki. Śmierć nastąpiła o godz. 11$^3/_4$ w południe. Oczy zmarłego były osłupiałe, powieki do połowy przymknięte, czynności pulsów i serca ustały. Trzej lekarze stwierdzili, że śmierć już nastąpiła. Nagle po pewnym czasie począł Bayley coś mruczeć. Początkowo były to słowa niezrozumiałe, potem coraz wyraźniejsze. W chwilę później począł zmarły przez 27 minut bez przerwy dyktować żonie, jak ma rozporządzić kapitałami i wychowywać córkę. Następnie, gdy głos stawał się coraz słabszy, zażądał Bayley ołówka i papieru i napisał jeszcze kilka zdań możliwie czytelnie, potem dopiero zmarł już ostatecznie. Wypadek ten wywołał w całej Ameryce olbrzymie wrażenie.

Najdziksze plemię ludzkie żyje na wyspie Cejlon na Oceanie Spokojnym, na północ od Indyj azyatyckich. Plemię to swym sposobem życia na łonie natury stoi najniżej ze wszystkich plemion barbarzyńskich świata. Dziki ten ludek żyje rozproszony w głębokich lasach i jaskiniach i nie utrzymuje prawie żadnych stosunków z panami wyspy Syngalezami. Są to ludzie malutkiego wzrostu, koloru skóry ciemno- albo żółto-brunatnego, o długiej czaszce i nosie spłaszczonym. Mieszkają w jaskiniach skalnych. Żywią się głównie upolowaną z łuków zwierzyną, rybami i miodem — uprawiają także nieco zboża.



Jedyną ich bronią łuk, a ubraniem przepaska na biodrach. W swym własnym języku zowią się »Wedda«. Ich życie religijne polega na czci przodków, na cześć których odprawiają tańce aż do nieprzytomności tancerzy. Głównym przedmiotem czci jest duch Kande Jaka, »wielki myśliwy«, na cześć którego pląsają przed każdą wyprawą łowiecką. Obok pląsów Weddowie śpiewają pieśni wzywające »ducha«, któremu ofiarowują czary z mlekiem kokosowem. Wogóle w obrzędach religijnych Weddów grają główną rolę przeróżne tańce, nieraz bardzo dziwne a wyrażające łowy. Taki taniec Weddów przedstawia nasz obrazek.

Przyszłość lotnictwa. Znany lotnik amerykański, Graham White, wypowiedział w tych dniach swoje zdanie o przyszłości lotnictwa. Zdaniem jego po dwudziestu latach komunikacya napowietrzna pomiędzy Ameryką a Europą będzie zupełnie uregulowaną. Postępy techniki umożliwią budowę latawców, mających 300 metrów długości, zaopatrzonych w żelazne skrzydła i mogących unieść do 1000 podróżnych. Aparaty te zaopatrzone będą w motory o sile 175.000 koni i będą mogły przebiedz 300 kilometrów w godzinie. Ha, kto doczeka, przekona się, czy po 20 latach komunikacya powietrzna będzie tak rozwinięta. Nieprawdopodobnem to jednak nie jest, gdyż 20 lat wstecz niktby nie uwierzył, że będą maszyny do latania ze sterem, które obecnie posiadamy.

Kongres czerwonoskórnych. W Stanach Zjednoczonych odbył się kongres, na którym czerwonoskórzy rozważali sprawy swojej rasy. A przybyli oni ubrani w dobrze skrojone żakiety, damy zaś wystąpiły w najmodniejszych sukniach. Współcześni indyanie amerykańscy, wnuczkowie strasznych wojowników, uczęszczają obecnie do uniwersytetów i hołdują cywilizacyi. Wynikiem tego jest fakt, że rasa, która miała wyginąć, odradza się. Ludność indyjska liczyła w roku 1890 243.000 dusz, w r. 1910 wzrosła do 315.000.

SPIS RZECZY

w roczniku 1911 „Roli“.

(Liczba przy każdym artykule oznacza odpowiedni numer »Roli«).

RELIGIJNE.

HISTORYCZNE.

POLITYCZNE — BIEŻĄCE.

SPOŁECZNE — EKONOMICZNE.

GAWĘDY O RÓŻNYCH SPRAWACH.

PRZYRODNICZE — PODRÓŻNICZE.

WIERSZE.

POWIEŚCI, LEGENDY, POWIASTKI, BAJKI, OPOWIADANIA, HUMORESKI.

Wesoła przygoda w drodze 13 — *Michał Wojnarowicz:* Równa zapłata 23, Jak Icek wyszedł na spółce z Walkiem (z obr.) 40 — *Władysław Wołowiec:* Podróż do nieba (z obr.) 51 — *Andrzej Wróbel:* Wojtek Ewangelista 14 — *Piotr Załubski:* Nieszczęsna jabłoń 7 — *Edmund Zechenter:* Dzisiaj a dawniej 17 — *Mateusz Zięba:* Przygoda biskupa z rabinem (z obrazkiem) 21 — *Wojciech Żak:* Dziad i baba (z obr.) 53 — *Stefan Żeromski:* Krzyż w lesie 4 — Lekarstwo na gadulstwo 5 — Świątobliwi jeńcy z Barro (z obrazkiem) 6 — Pociąg pod śniegiem (z obr.) 7 — Dowcipny lis 8 — Milion albo śmierć (z obr.) 8 — Legenda o krzyżodzióbku 12 — O sewcykowy dusyce (z obr.) 16 — U progu szczęścia (z obr.) 23 — O babie co ozora za zębami trzymać nie umiała 25 — Schwytanie Bąka (z 4 obr.) 24–27 — Pas Najświętszej Panienki 37 — O królu, co córkę za dziada niby wydał (z obr.) 38 — Dziecię Maryi (z obr. 50 — *W. K. L. J.* Mądry Maciek (z obr.) 12.

RÓŻNE.

W walce z boleścią i smutkiem (z ill.) 10. — Podróżny bez głowy (z ill.) 10. — Tego już za wiele 11. — *Michał Mikoś:* Pory roku 14. — Na odpuście (z ill.) 14. — Powrót z jarmarku (z ill.) 15. — *Teofil Tryczyński:* Witaj król. maju 20. — Legendy, podania i opowiadania. 24. — Sianokosy (z ill.) 26. — Na srebrnych łanach (z ill.) 29. — Śmierć człowieka leśnego (z ill.) 31. — Przesądy i zwyczaje 34. — Ucieczka z trumny (z ill.) 35. — *Ant. St. Bassara:* Przy pokosach siana (z ill.) 36., Spoczynek cyganów (z ill.) 40, Jesień (z ill.) 41., Na progu świątyni (z ill.) 42, Pod cichym murem klaszt. celi 43., Opowiadanie harfiarza (z ill.) 44., Pociecha rodziców 50. — Bóg się rodzi 52. — Ostatanie słowa 53. — Założyciele »Roli« 53.

Z TYGODNIA, KRONIKA Z OBRAZKAMI, ZAGADKI DO NAGRODY, ODPOWIEDZI REDAKCYI, HUMOR I MACIEK BZDURA GADA w każdym numerze »Roli«.

Zagadki do nagrody.

Ażeby nie przenosić rozwiązań zagadek z roku bieżącego do następnego rocznika, w dzisiejszym numerze zagadek nie drukujemy. Zaczniemy je znowu umieszczać w numerze 1. z 1912 r.

Znaczenie zagadek z nru 51 »Roli«: 1. Szarada: **Narkotyki,** 2. Szarada: **Stanisław,** 3. Zgadulka: **Rzepa,** 4. Szarada: **Turkot,** 5. Przeplatanka: **Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada,** 6. Szarada: **Kolporter,** 7. Szarada: **Jagody,** 8. Szarada: **Cerata.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Władysław Gul z W. Z., W. Potoczny z H., Władysław Dubaj z J. P., K. Baron z P., Z. Oraczewska z Ż., J. Spławiński z J. p., M. i A. Synowcówny z Ś. g., M. Zięba z O. B., Wł. Pasiarb z Cz. (wierszem), J. Bylica z P., J. Szypuła z H. K., J. Rega z Ż., K. Powroźniak z S., D. Stesłowicz z W., A. Żebrok z B., J. Płatkowski z M., A. Bezokówna z K. M., J. Hirszberg z K., J. Boratyńska z R., Władek z Łęgu, Jan Pożdał (wierszem).

Pierwszą nagrodę p. t. ***W kraju mężnych Boerów*** wylosował p. **Wł. Dubaj** z J. P., zaś drugą p. t. ***Z chłopskiej niwy*** p. **Wład. Pasierb** z Cz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

P. P.: Regina Urygowa w Ż.: Maciek za ładny wierszyk pożegnalny dziękuje, chociaż nigdzie nie wyjeżdża i dalej w »Roli« będzie gadał. — Jan Pożdał: Zagadki dobre, chętnie je umieścimy. — Jakób Kaczor z D.: Za opłatki i serdeczne słowa stokrotnie dziękujemy. Maciek za życzenia również dziękuje. — Józef Michniak w B.: Sprawa zbyt osobista, aby ją drukować. Powinna się nią zająć żandarmerya. — Franciszek Borkowski w B.: Kursa szewskie są: w Dobczycach, Kołomyi, Witkowie i Starym Sączu. — Władysław Cyranowski: Atrykulik otrzymaliśmy. — Michał Bartys w K. Jakkolwiek uwagi Pańskie są zupełnie słuszne, drukować ich nie będziemy, gdyż »Rola« jest pismem niepolitycznem. — St. Siepak w O.: List oddaliśmy Maćkowi. — Józef Wojnarowski w Sz.: Wiersz otrzymaliśmy, dziękujemy. — Anna Lasoń w K.: My, jak również i Maciek, za pamięć dziękujemy. — Maciej Kapusta w L.: Maciek Bzdura za rady dziękuje, a my za cenne uwagi również.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Swierzyńskiego